

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXI

WARSZAWA, DNIA 8 GRUDNIA 1928 ROKU

NR 50

TREŚĆ NUMERU: Co mówią kobiety — *Dr. Herminja Naglerowa* * Cudownicy — *M. H. Szpyrkówna*. Poezje: „Niebieski Gość” — *Anna Stonczyńska*. Rafałek i Dulcinea (nowela) c. d. — *Felicja Kruszevska*. 53-cia Środa Literacka w Wilnie — *Eugenja Mastiejewska*. Z życia muzycznego — *P. L.* Tamponowanie na jedwabiu — *Jadwiga Prażmowska*. Odżywianie a zdrowie (dok.) — *Marja Morzkowska*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Kultura Ciała”: Jesienią — „*Mary*”. O utrzymaniu fizycznego typu kobiety — *H. M.* Dna czyli artretyzm — *Dr. M. Dziadyk-Kłosińska*. Ostrożnie z ołówkami karminowymi — *Dr. J. Smiarowska*. Odpowiedzi Redakcji. Dodatek „Mody i roboty”: Modna bielizna — *Well*. Dodatek powieściowy „Oblubieńcy” — *M. Benisławska*. Tablica kroju.

CO MÓWIĄ KOBIETY

Mównica, którą wprowadziła Redakcja, stanie się — mam wrażenie — jednym z najciekawszych działów „Bluszcza”. Będą to, bowiem, głosy „nieoficjalne”, głosy kobiet, które zazwyczaj milczą i kryją się w cieniu. A już to samo, że z milionowych mas będzie można wyłuskać prawdę przeżyć i przemyśleń, że żywe sprawy ujawnią się, jako istotne i niejednokrotnie już skonkretyzowane problemy i postulaty — posiada olbrzymią wartość materiału z pierwszej ręki.

Trzeba zresztą przyznać, gwoźli prawdzie, że wszelka akcja — niech to będzie akcja społeczna, gospodarcza, czy polityczna — o ile nie styka się permanentnie z życiem, musi z czasem skostnieć w doktrynę. Bo, choćby była najlogiczniej postawiona i we wnioskowaniu niezbita, będzie miała raczej walory dyalektyczne, coraz bardziej odbiegające od żywego działania i od spraw realnych. Kontakt z życiem jest więc koniecznym warunkiem powodzenia każdej sprawy i akcji publicznej. A właśnie te kobiety, które tak żywo zareagowały na wezwanie Redakcji, od razu wysunęły szereg postulatów żywotnych, świadczących o rozległej skali zainteresowań, o wartościowej energii mas kobiecych, energii, która się chce przejawiać w czynie.

Prawdziwie cieszyć się należy tą różnorodnością zagadnień, reprezentowanych przez autorki listów w „Mównicy”. Przyczem zaznaczyć należy, że tematem listów nie są wcale faramuski kobiece, bylejakie drobiażdżki, gnębiące ową przysłowiową bezradność kobiecą. Przeciwnie: sprawy, poruszane przez autorki listów, nawet te, które mają pozory osobiste, są w istocie swej zasadnicze, bo domagające się reform, dotyczące zagadnień humanitarnych, wskazujące na konieczność tworzenia nowych placówek pracy i wreszcie świadczące o introspekcji psychologicznej. Listy te mają jeszcze jedną zaletę: budzą optymizm,

stwierdzając, że sprawa kobieca nie jest jedynie mrzonką, czy zaciętrzewieniem działaczek, skoro ogół kobiecy, ta „szara masa” tak właśnie myśli, tak czuje, tak pojmuje swoje zadania i tak ujmuje realność swojego życia.

Oto list p. Marji Kowalskiej z Małopolski dowodzi, że kobieta dzisiejsza nie przestała być entuzjastką, ale jej emocjonalność nie dotyczy błahostek i nie czepia się pięknie brzmiącego frazesu. Ta kobieta, która pisze: „Zdaje mi się, że my właśnie najwięcej zrobić możemy!” i ma już zarys planu pracy, bo wie, do czego zmierza, jest niewątpliwie najbardziej współczesnym typem polskiej rzeczywistości. Nie są to, bowiem, jakieś nazbyt górne, w obłokach pływające, projekty, ale realna myśl bezustannej pracy rozwojowej, pracy pospólnej, bodaj w najbliższym kole. I słusznie! Tyle jest przecież do zrobienia, a tyle rąk próżnuje! tak wiele jest nędz, które wspólny wysiłek mógłby przynajmniej na małym odcinku zwalczyć! Do tego właśnie nawołuje autorka listu, twierdząc, że zorganizowanie tych prac mieści się w ramach możliwości nawet małego kółka towarzysko ze sobą związanych kobiet. Głos Małopolanki nie powinien więc pozostać bez echa i zapewne zjawiać się będą w „Mównicy” radosne komunikaty ze wszystkich stron kraju: „Stworzyłyśmy własnymi siłami placówkę społeczną, gospodarczą, oświatową!”

List p. W. Tropaczyńskiej, nauczycielki w Mogilnicy (pow. Baranowski) dotyczy sprawy niemniej ważnej, może nawet „palącej”. Czytając ten list, pisany przekonywująco, a z umiarem, zrozumiałam dopiero sytuację na Kresach wschodnich. List ten jest, bowiem, dokumentem pierwszorzędny, gdyż bez poży, bez zniecierpliwienia, ale w bezstronnym oświeceniu przedstawia stan rzeczy. Zgroza faktów jest tembar-

dziej przejmująca, a konieczność natychmiastowej akcji wprost alarmująca.

Na list ten czytelnik reaguje taką wizją: Kobieta, która w tych straszliwych warunkach, wśród nędzy, ciemnoty i tajonej niechęci otoczenia ma za zadanie szerzyć oświatę, reformować, nauczać, zjednywać! Rzecz nie do pomyślenia w tych czasach, aby ktoś robił ofiarę z siebie, ze swoich kulturalnych potrzeb, zakopał się żywcem w posępnej, beznadziejnej atmosferze! Bezradność i odosobnienie tych kobiet, które na Kresach wschodnich spełniają najtrudniejszy obowiązek—są wprost tragiczne. Ale te kobiety nie poddają się rozpacz, tylko wzywają, wzywają do działania. Mądre i ludzkie, wskazują na to, co należy zrobić, gdzie sięgnąć, by zgruntu naprawić zło. Nie wiem, może ta nauczycielka białoruskich dzieci składała już memorjały „gdzie należy“, może już nawoływała „odnośne czynniki“, ale jej pisma odkładano ad acta, a niejeden pan przy biurku krzywił się na to „babskie gadanie“.

A tymczasem właśnie to świadectwo kobiety, która zbliża poznała—powiedzmy otwarcie—hańbę naszych niedopatrzeń, ta kobieta należy do etycznej elity naszego społeczeństwa. Jej ludzkość domaga się przecież najspieszniejszej akcji humanitarnej, a jej misja oświatowa—to nie tylko zasklepianie się w elementarzu, ale rozumne, pragmatyczne ujęcie całokształtu spraw na Kresach wschodnich.

Więc niech się w ten list wczyta polska obywatelka i niech się jego prawdą przejmie do tego stopnia, by rozpocząć pracę na ugorach białoruskiej nędzy. Jak? Są przecież związki i stowarzyszenia kobiece, są drogi, wiodące do władz, jest nieustępliwość żądań tego, co się słusznie i koniecznie należy. A zapewne są też kapitały w posiadaniu patriotów i patrijotek, których dobrą wolę możnaby skierować na te wschodnie, w zaniedbaniu swoim niebezpieczne, Kresy. „Przecież nie może długo krzywdą taka się dziać!“—woła autorka listu.

Chcę tu jeszcze dodać słówko o tym optymizmie, który nawet w tej smutnej sprawie ma swoje miejsce; bo oto właśnie widzimy i w tym liście najprzedniejszy typ kobiety, świadomy nie tylko swojego obowiązku, ale zgłębiający ważne—ogólnoludzkie i państwowe sprawy.

Dwa listy—p. Heleny B. z Grudziądza i p. Zofji W. z Łowicza—zawierają treść praktyczną, niemniej jednak poruszają sprawy bardzo aktualne i zasadnicze. P. Helena B. wskazuje, bowiem, na konieczność utworzenia poradni finansowych dla kobiet. Dzisiejsza kobieta musi przecież niejednokrotnie radzić sobie samodzielnie także w kwestjach finansowych, musi umieć operować większym kapitałem i tem samem znać się na kombinacjach bankowych i giełdowych. Trzeba więc, żeby dotarła do tych zawiłych spraw i stała się również „wtajemniczoną“ w te dziwne cyfry, notujące „wzloty i upadki“ akcji i ujaw-

nijące konjunktury rynku pieniężnego. List ten konkretyzuje się w projekcie utworzenia poradni finansowych i wskazuje, że dziedziną, dotąd obca kobiecie, zaczyna ją interesować. Chce wiedzieć, chce się uczyć, chce poznawać.

Taki sam zmysł praktyczny, obok społecznego sposobu myślenia, cechuje list p. Zofji W. z Łowicza. Informując się, czy w Poznaniu istnieje wspólny dom dla kobiet pracujących, gdzieby samotna kobieta mogła mieszkać, wskazuje autorka listu na potrzebę takich domów. Niejednokrotnie pisano o tej kwestji na łamach „Bluszcze“, powołując się na wzory zagranicy. Byłaby tu nawet wskazana inicjatywa prywatna, skoro związki i stowarzyszenia kobiece nie rozporządzają dostatecznymi funduszami. Takie hotele, czy pensjonaty, urządzone wygodnie, a nie obliczone na nadmierne zyski, miałyby ogromne powodzenie. Tyle jest przecież kobiet pracujących i samotnych, mieszkających „kątem“, skazanych na kaprysy odnajmujących!

I tak—nawet to krótkie zapytanie p. Zofji W. staje się projektem, po który sięgnąć może czyjaś dobrze pojęta inicjatywa.

Wreszcie list warszawianki, p. Niny Z.—odrębny treścią, poruszający zupełnie inną dziedzinę życia kobiety, bo psychologiczną i bodajże uczuciową. Są w tym liście oddźwięki dawnej kobiecości, tej zakonspirowanej, niemającej odwagi objawić się wszem wobec. Świetna książka Grossek-Koryckiej „Świat kobiecy“, ta śmiała książka, która „zdradza“ dodatnie i ujemne elementy kobiecości, nie powinna—zdaniem autorki listu—dostawać się w ręce mężczyzny. Dlaczego? Ponieważ Grossek-Korycka, typizując kobietę, zacierza wartość wyidealizowanej indywidualności kobiety.

Nie, doprawdy, nic w tem nie widzę groźnego, że znalazła się autorka, która zasadnicze cechy kobiecości postawiła jasno, bez obłudy. Przeciwnie, jest to zjawisko znamienne, że kobieta pisała szczerze o kobiecie, podczas, gdy żaden mężczyzna nie odważył się pisać szczerze o mężczyźnie, jako rodzaju. Książka o „świecie mężczyzn“ ujawniłaby, zapewne, takie cechy charakteru i psychiki męskiej, że niejedna kobieta powiedziałaby, parafrazując słowa męża p. Niny Z.: „Myślałam, że wszystko, co kocham w tobie, czem ty jesteś dla mnie—to ty, a ten autor dowiodł mi, że to jest męskość!“

A zresztą na pocieszenie p. Niny Z. powiem, że istnieje przecież ślepotą miłości, której zadaniem jest właśnie indywidualizowanie obiektu miłości. A może być także inaczej, według Sienkiewicza: „Wiem, jaka ona jest, ale nie mogę od niej duszy oderwać!“ Niech więc mężczyźni czytają książkę Grossek-Koryckiej, tembardziej, że i o sobie dowiedzą się coś niecoś z mądrych spostrzeżeń autorki.

Omówiwszy tak pięć listów z „Mównicy“, raz jeszcze stwierdzam ich wartość, jako dokumentów, jako materiału życiowego, który sprawę kobietą ubezpieczony i jej zakres rozszerzy.

Dr. Herminja Naglerowa.

M. H. SZPYRKÓWNA

CUDOWNICY

Każdy okres przełomowy w człowieku zaznacza się szczególnem, niespokojnem poszukiwaniem. Ograniczona świadomość ludzka nie chwyta wyraźnych rysów zdarzeń, które wyczuwa, tylko jakgdyby mgliste ich możliwości — cienie na wodzie, niepochwytne napomknienia, które nadświadomość muska skraje zmysłowych odczuwań, jak jaskółka wodę, unosząc się natychmiast w dziedzinę niedosięgalnego. Ale coś jednak, jakiś miraż, jakieś wspomnienie, zostaje. I człowiek szuka w świecie konkretnym tego, co przyszło zpoza niego; nie znajduje, męczy się — aż trafia na te zjawiska, przemiany lub zdarzenia w swoim życiu, których owe oddalone przeczucia były tylko zapowiednim wiatrem.

Ludzkość miewa, tak jak i człowiek poszczególny, swoje okresy przełomów i poszukiwań. Historia nam niesie wiele faktów, o których nie mamy powodu sądzić, żeby wszystkie i w czambuł były zmyślone — że przed wielkimi wypadkami w dziejach różne kraje i narody, lub różne poszczególne jednostki w tych narodach i krajach: podległy były jakgdyby jakiemuś dodatkowemu uwrażliwieniu. Widywano zbiorowo i trwale niewytłumaczone symbole na niebie: — krzyże, miecze, postacie walczących, postacie świętych, smoki i szatany. Widywano całe skomplikowane obrazy o mniej lub więcej proroczym znaczeniu — na obłokach, w powietrzu, wreszcie w snach. Dzieje niosą, że bynajmniej nie zawsze i nie w każdym wypadku dałoby się je wytłumaczyć krążącymi już uprzednio pogłoskami i fermentem umysłów: zdarzało się, że były właśnie punktem wyjścia i początkiem. Jest to dziedzina tajemnic, jeszcze dziś niezbadanych nawet w przybliżeniu, i należy je odnieść, w braku odpowiedniej terminologii, do dziedziny cudowności; jakkolwiek wczorajszy cud nieraz w dziejach ludzkości jutro stawał się zjawiskiem, powstałym na tle szczególniejszego i niecodziennego przecięcia się znanych skądinąd i fizykalnych praw. Wielkim jednak błędem, jakkolwiek usprawiedliwionym poprzednimi takimiż precedensami w sprawach niecodziennych zjawisk, jest ciasne i płytkie wyśmiewanie wszystkiego, co poza ograniczone pojęcie współczesnego rozwoju wybiega. Dowodzi właśnie tylko ograniczenia. Czas już najwyższy dziś, w dobie coraz to cudowniejszych wynalazków i możliwości, nauczyć się, że nie ma rzeczy niemożliwych zasadniczo — są tylko takie, które dziś nam się niemożliwymi wydają. Ale jakieś drobne, wykryte jutro, prawo chemiczne, czy fizyczne, jakiś niepochwytany dotąd pierwiastek, jakieś promienie przeszłości, nawet w głowie nieświatające — i wczorajsza niemożliwość jutro staje się do

nabycia za niewielką ilość złotych. Rzecz pomyślana, wcześniej czy później musi się ucieleśnić, jak musi dolecieć kamień, raz ciśnięty zgóry. Reszta jest kwestją czasu i okoliczności mniej lub bardziej sprzyjających. Dzisiejszy aeroplan nie byłby nigdy powstał, gdyby pewnemu szalonemu lkarowi myśl napozór obłąkana nie zaciążyła tak nieodpartą władzą, aż musiał, musiał wzlecieć — gdyby nawet za cenę życia i ośmieszenia się, co gorsza, wobec współczesnych trzeźwofilów. lkar zginął, jako ofiara swojej idei, i, jak każda idea, nakarmiona krwią żywą, i ta na ciele swego twórcy zaczęła kiełkować i rosnąć. Szalone i nieoparte na prawach, znanych podówczas fizyce, zamierzenie — odczekało wieki i zakołatało raz jeszcze do innej, wielkiej, ale już i wspaniale ugruntowanej umysłowo duszy: słowa wiekopomnego Leonarda da Vinci: — „Będą skrzydła!” — są już bezpośredniemi rodzicami dzisiejszego aeroplanu. Skrzydła — są! Jakkolwiek nie wiemy, czy jutrzejsza technika nie stworzy jeszcze innych, jeszcze doskonalszych, takich, które, mając w sobie ideę lkar, będą ugruntowane na wiedzy, podłożone pod nie przez tysiąclecie nauki ścisłej. Pamiętajmy, że dniami są tu stulecia. lkar kryje się gdzieś w dzieciństwie ludzkości; Leonardo żyje w wiekach średnich, my — jesteśmy za ledwie młodością idei o skrzydłach: zaszumią pełnym lotem, kiedy ludzkość dorośnie. I czyż mieli słusność ci, którzy szydzili? Mądrością szaleńców żyją nieraz trzeźwi.

Dzisiejsze czasy roją się wprost od rzeczy cudownych, w najrozmaitszych dziedzinach, i rzeczy te, jak i przedtem, przez jednych są przyjmowane bezkrytycznie i z nabożeństwem, przez drugich — wyszydzane z bezkrytycznem ograniczeniem. Nauka dziś jakgdyby zerwała więzy i prze naprzód siłą miliona koni. Cudowi techniki dzisiejszej już niema czasu i możliwości zaprzeczać, bo codziennie nieomal rodzi się w świecie nauki i wynalazku coś, co wczoraj jeszcze wydawało się nie do pomyślenia. Nie tak dawno jeszcze, kiedy wielki wynalazca, między innymi i fonografu, Edison, przysłał na kongres uczonych swego reprezentanta z tym przyrzędem, i zebrani nagle usłyszeli wychodzący z instrumentu głos — jeden z profesorów zerwał się i spoliczkował Bogu ducha winnego przedstawiciela, wołając: — „Nędzny brzuchomówco! chcesz nas w błąd wprowadzić tak zwykłem oszustwem!” A był to przecież kongres ludzi wiedzy, którzyby powinni mieć umysł światlejszy i szerszy. Czegoż tu żądać, w sensie szerokości pojęć i tolerancji, od zwykłych zjadaczy chleba?... Jakże się oburzać na ludzi, uśmiechających się pobłażliwie na ideę, że

Atlantom był znany sposób podnoszenia olbrzymich kamieni na niebotyczną wysokość, dzięki podpatrzeniu nieznanych nam jeszcze praw ciężenia — albo którzy zaprzeczają cudom w Lourdes, gdyż przykro im przypuścić, że w górze mogą być znane prawa, które tu, w dole, wydają się jeszcze zaprzeczeniem praw?

Okres nasz, po wielu przejściach, po wojnie, powstaniach, niepodległości — jest wykwitem wyczulonych zmysłów, usiłujących już nieomal chwycić rzeczy, zwane niesłusznie nadzmysłowymi. Mogą być conajwyżej i tymczasem — pozazmysłowe, jak kilometr, którego jeszcze nie przeszłam, jest przedemną, a nie nademną. Niemniej, jest w granicach mojej osiągalności.

Otóż dziś osiągalność rzeczy, wczoraj nieuchwytnych, wzmożła się i wyostrzyła nad podziw, jak w każdym okresie nerwowego napięcia, które, naturalnie, wykres swój kreśli zębami dziesiątków i setek lat, nie dniami.

Może nigdy nie roił się świat taką ilością jasnowidzów, przepowiadaczy, odgadywaczy myśli, telepatów i medjów wszelkiego rodzaju. Są między nimi gwiazdy pierwszej wielkości, są i takie, które zaledwie się przecierają przez obłoki własnej ciemnoty, a są, poprostu, szkiełka, imitujące gwiazdy, bo — jest na nie popyt. I zamęt, skutkiem pomieszania tych pojęć i ludzi wobec małoprawnych w odróżnianiu prawdy od ersztu, a istotnego daru nadzmysłowych chwytów od mniej lub więcej udanego bruchomówstwa moralnego — jest kolosalny. Ludzie krzyżują szpady ze szczerej stali przekonania o blaszance, która niewarta jest trzonka.

Ktoś słusznie rzekł, że duch ludzki jest, jak szkło: im czystszy, tem więcej przepuszcza nazewnątr światła, które na niego pada. Otóż światło, jako takie w sensie moralnym, otacza nas w ilości nieograniczonej zarówno, jak światło istotne — idzie tylko o nasze aparaty odbiorcze. Jeden ma okna małe i zakopcone, inny — duże i czyste. Jeden ma umysł ciemny i ciasny, inny — szeroki i oświecony. Jasna rzecz, że ilość i jakość światła i wiadomości — nazwijmy to rewelacje — jakie przyniosą ludzkości — nie mogą być jednakie. I że w jednym tylko wypadku prostaczek może dorównać uczonemu, albo i prześcignąć go jeszcze: jeżeli jest etycznie — by tak rzec, duchowo — tak czysty, że osiąga ten sam poziom lub wyższy, tylko nie w drodze intelektualnego i kulturalnego rozwoju, a przez ducha: droga świętych Proroków, Apostołów. Wszystkich, którzy wysiłkiem ducha wzniesli się na wysokość już niepodległą zaćmieniu ciasnego rozumu ludzkiego.

„Spiritus flat, ubi vult”. I oto u nas zjawiają się już zapowiednie ogniki popularyzacji... cudownictwa. Ośławiony Michałek zapełnił szpalty gazet warszawskich i pozastolecznych swymi niezwykle kazaniem. Zwolennicy go wielbią fanatycznie; ludzie z mia-

sta dość zgodnie uważają, że jest to sprytnie pomysłany humbug, z obliczeniem na czysto materialny zysk ze składek, sprzedaży fotografii i t. d. Jedni wynoszą pod niebiosy „prostaczka”, inni — poprostu biorą się za boki. Jakże w rzeczywistości rzecz może się mieć?

Przypuszczam, że dobrze jest właśnie, rozważywszy poprzednie, stanąć na stanowisku rozumowania logicznego. Chłopiec bez nauki i nieco matołkowaty, jak na to wygląda, bezwzględnie w drodze rozwoju intelektualnego do dziedzin nadzmysłowych dotrzeć nie mógł. Pozostawałaby więc druga droga: oświecenia duchowego. Otóż ta droga jest o tyle wyższa, że wspaniałości, czystości i jasności rewelacji, która przez usta prostaczek — jak apostołowie i prorocy — jest wtedy udzielana — nie dorówna nikt. Poraża zarówno króla, jak pastucha, przekonywa zarówno uczonego, jak żebraka. Jest to dar Boży, język ognistego Ducha, który posługuje się zrozumiałem dla ludzkiego poziomu narzeczem dla wyłożenia prawdy wiecznej. Czy można, czy podobna porównać urywkowe i bezładne nagromadzenie świętobliwych słów w kazaniach wyrostka ze wsi z czemkolwiek bodaj podobnem? Jest to raczej profanacja już samej myśli. I wybraństwo Michałka można w tym sensie spokojnie odłożyć na stronę.

Natomiast — czy konieczne jest to humbug i nabieranie?!

Osobiście skłonna byłabym go bronić. Sądzę, że — nie! Sądzę że przeciwnie: chłopiec jest właśnie tem zakopconem szkłem z wiejskiej izby, przez które światło, samo przez się wspaniałe i czyste, przedostaje się w formie skażonej i ciemnej. Że wyczulony z tych czy innych przyczyn odbiornik psychiczny chłopca reaguje na pobudki pozazmysłowej nawet kategorii, ale nie ma dość wyćwiczonych aparatów, aby oddać ludziom to, co spostrzega i słyszy, w formie nieskażonej. Stąd nieudolny, ciemny, śmieszny nieraz wyraz rzeczy, poza którymi może jednakże tai się tchnienie rzeczy lepszego porządku — i tchnienie to jest trafnie przez prostotę ludzi otaczających wyczute. Że żadnego działania, oprócz emocjonalnego, wyrzucić nie może — rzecz jasna. Że emocja, niekierowana rozsądkiem, może pokierować się niekoniecznie z korzyścią, zwłaszcza, o ile idzie o tłum — to także pewne. Z tych więc względów takie prorocze aparycje na wsiach, wśród ciemnoty, są raczej niepożądane. Ale, abstrahując od tego — czy chłopiec świadomie szedł na oszustwo? Bardzo wątpię. Jeżeli — jak twierdzą pisma — są potemu poszlaki, — myślę, że powstały dopiero z czasem, pod namową starszych i na skutek słabego właśnie rozwoju kulturalnego i etycznego samego chłopca. A co do światła — zawsze jest wielkie i to samo, tylko szkła, przez które ukazuje się światu, są mniejsze czy większe i mniej lub więcej przejrzyste.

NIEBIESKI GOŚĆ

Oblubieniec dusz — czystszy od aniołów białych,
niezapłoniony nigdy miłosnym rumieńcem —
kobietę, którą gardził ówczesny świat cały,
podniósł — uskrzydlił — oplótł aureoli wieńcem.

Zwolennik intuicji, co jest ducha wzrokiem,
i pokory, co łaski wyprasza olbrzymie —
natchnionej Marji szeptał o niebie wysokiem...
nieśmiałej Cudzoziemce wyjawiał Swe Imię...

Oczarowany wiarą — u kobiet tak wielką —
wskazał im nową rolę: nietylko żyć domem,
lecz wraz z Samarytanką, miasta budzicielką,
iść w tłumy i zapalać je — słów swoich gromem!

Wyżej ceniący serce, niżli rozum suchy,
w blasku Zmartwychwstałego wędrując po świecie,
nie ukazał się mędrcom — pełnym pychy głuchej —
ale kobietom: smutnej, płaczącej kobietom...

Urodzony z kobiety, pod jej wzrosły pieczę,
w piękność ducha Swą Matkę ustroił królewsko,
aż po wiek wieków — pierwszą jest duszą człowieczą:
dusz różą — perłą — gwiazdą — jutrenką niebieską!

* * *

Mówił do nieszczęśliwych, że nie są przeklęci.
Że męka, to nie łachman, lecz przepych królewski.
Że strój ten nosić będą wszyscy pańscy święci.
Że nosi go On nawet — Królewicz Niebieski.

Mówił do nieszczęśliwych, że są ukochani.
Że nieszczęście jest jednym z głównych przywilei.
Że łzami najbezpieczniej płynąć do przystani.
Że każda łza kropelką jest z Morza Nadziei.

Mówił do nieszczęśliwych, że szczęście dostaną.
Że ziemia się zasłoni, a raj się odsłoni.
Że Ojciec po nich z chwałą wyjdzie niespodzianą.
Że nikt przy Nim tak blisko nie stanie, jak oni.

* * *

Wisał w siności trupiej — pieszczony jedynie
przez mrok, co krzyż otulił od stóp aż do szczytu,
i czekał na Dzień Trzeci, który Go owinie
w Zmartwychwstanie, jak w szatę z nieba i ze świtu.

Czemu to — kiedy łaknął, na puszczy kuszony,
nie chciał, by Mu pod ręką głazy zmiękły — w chleby?
Bo nie na to był cudów wiedzę napełniony,
by na tej ziemi w łasne nakarmić potrzeby!

Czemu to nie przemienił w soczyste owoce
suchego liścia figi, którą znalazł pustą?
Bo nie na to czuł w Sobie życiodajne moce,
by pachnące napoje w łasnym dawać ustom!

Czemu to zaciśniętym na Swem ciele pętom
nie kazał zelżeć w miękkich róż girlandę białą?
Bo nie na to posiadał siłę niepojętą,
by przed ran szkarłatami własne chronić ciało!

Czemu to Swej postaci ludzkiej, jak łachmana,
nie zrzucił, aby wrogom wyrwać buntu korzeń?
Bo nie na to wziął na świat władzę Niebios Pana,
by w życiu w łasną duszę strzec od upokorzeń!

* * *

Dla ludzi chcąc otworzyć Raju próg daleki
przez mękę, która Ojca gniewem zakolebie —
rozdawszy wszystkie Słowa Swe, ważne na wieki,
na pastwę Swoim wrogom dał samego Siebie.

Wzięto Go bezbronnego — z szatańską odwagą,
by zedrzeć Mu, wraz z sławą, skromną Jego szatę —
i pod włóczniami spojrzeń stał po chwili nago,
lśniąc dziewiczego ciała białym majestatem!

Potem Go ustrojono, jak w przepych jedyny,
w krew żywą, co trysnąwszy z pod biczów tysięcy,
szyła Mu — nawlekając swych kropel rubiny —
szatę, co purpurowa bywa i gorąca!

Wkońcu Go krzyżowano w tłumów przytomności,
co tak wyły na widok zawiści swej dzieła,
że aż Śmierć, która dotąd nie znała litości,
przybiegła i pośpiesznie oczy Mu zamknęła —



FELICJA KRUSZEWSKA

2

RAFAŁEK I DULCINEA

(nowela)

Ale zaraz lepiące się powieki rozchyliła kolorowa, ciepłutka myśl. Panna Walerja zerwała się, energicznym ruchem odrzuciła kołdrę i wsunęła bosę stopę w miękkie pantofle. Potem potoczyła w półsennem okiem po ścianach. Są! Gruby Rafałek i wiotka Dulcinea. Dwa malutkie, ciemne punkciki.

— Dzień dobry, maleństwa—pomyślała panna Walerja, sięgając po szlafrok.

I tak było codziennie. Tak było przez parę dni.

Rano, i po powrocie z biura, i wiele razy w ciągu wieczoru oczy panny Walerji odbywały dookólną wędrówkę w poszukiwaniu much. Czasem cichy pobrzek zdradzał odrazu ich obecność. Czasem pierwsze wejrzenie natrafiało na dwie, jedna tuż przy drugiej zawisłe plameczki. Ale nieraz potworki przyczajały się w ciszy za szafą, albo tkwiły niedostrzegalnie prawie w ciemnych środkach kilimkowych nasturcji. Panna Walerja doznawała wtedy szczególnego ściśnięcia serca. Dziwnie jakoś polubiła te muchy. Weselej było teraz wracać do domu, a już zupełnie zabawnie rozkładać okruchy i kryształki cukru na papierku, albo zostawiać umyślnie kropelkę mleka na spodku. I oczy panny Walerji, odrywając się od książki, traściły nieraz zupełnie wgląd w sprawy cudzego życia, żeby spojrzeć z wyraźną pieśczętą ku brzękliwej parce.

Jakoś po tygodniu swego z muchami bytowania, panna Walerja w porze śniadaniowej zwierzyła się z wstydlivym uśmiechem pannie Helenie:

— A wie pani, przybyło mi dwoje lokatorów w pokoju.

— No?—zdziwiła się panna Helena. I składając starannie przezroczysty paperek po śniadaniu, rzuciła w stronę panny Walerji:

— I cóż to takiego? Kanarki?

Panna Walerja zaprzeczyła z żywością. Ależ nie podobnego! Ciągłe piski w pokoju i ziarenka siemienia na podłodze! Nie, tegoby nie zniosła! Ma u siebie w pokoju dwie muchy. Hoduje je.

— Muchy?! Pani hoduje muchy, panno Walerjo?

No tak. To jest niezupełnie hoduje, ale właściwie karmi je. Zjawily się niewiadomo skąd, a nawet niewiadomo dokładnie, kiedy. Rafałek i Dulcinea. Rafałek, oczywiście, większy i bardziej ruchliwy. Zato Dulcinea — takie ździebełko. Bardzo miłe są te maleństwa.—I, rozumie pani, ciągle są.

Panna Helena wkręcała właśnie papier w wałek maszyny. Wkręciła go tylko do połowy i spojrzała na pannę Walerję z politowaniem.

— Rafałek i Dulcinea! To ci miłe maleństwa! Muchy! Nie! Pani jest chyba nienormalna, panno Walerjo!

Panna Walerja zaczerwieniła się z przykrości i oburzenia. Ach, te smarkate! Jeśli się ma więcej, niż dwadzieścia parę lat, i nie dosyć sprytu, żeby złapać męża, to już zaraz—nienormalna!

Tego popołudnia jednak, wróciwszy do domu, panna Walerja po sprawdzeniu obecności grubego Rafałka i wiotkiej Dulcinei, siadła w fotelu bez książki i oddała się rozważaniom.

Wydobyła z pamięci rzucone tam przez pannę Helenę wzgardliwe słowo. Przyjrzała mu się bacznie, zgłębiła jego sens. Nienormalna! Niby przez te dwie muchy. Mój Boże! może się przecież człowiek przywiązać do takiego maleństwa. I cóż w tem właściwie nienormalnego? Nie — normalna. To znaczy, zbaczająca poza normy. Normy? Ach, tak. Kwadratowa twardość biura. Budzik o jednej godzinie. Ranny chłód. Podróż zatłoczonym tramwajem. Schody od dwunastu lat te same. Te same drzwi. Na drzwiach tabliczka. Książka z szeregiem cyfr ($2 + 5 + 17 + 24 =$). Krzesło, obite skórą, która przystosowała się tak doskonale do kształtów panny Walerji. Uśmiech panny Heleny. Maszyna. Stuk, stuk, stuk. Telefon. Herbatka. Bułeczka z polędwicą. Wszystko w porządeczku. Do widzenia. Do jutra. Schody od dwunastu lat te same. Ulica. Obiad (zupka cytrynowa, czy barszczyk?). Sprawneczki w tych samych sklepach (10 deka maselka dla szanownej pani — 10 deka wędlinki, 20 deka cukiereczków). Schody od pięciu lat te same. Dzwonek (dziękuje Marysi, czy może od niedawna Józki). Pokój.

Panna Walerja zatoczyła wzrokiem po czterech ścianach swego pokoju. Łóżko. Fotel. Ciepło pieca. Budzik, tykający na szafeczce. Zapuszczona biała firanka. Nasturcje na kilimku. Biureczko ze stosem książek. Szafa. Umywalka za parawanem. W porządeczku.

Panna Walerja odetchnęła z ulgą.

Bzz...

Panna Walerja zamysłona drgnęła, podniosła oczy na wirujące nad jej głową muchy. A prawda! i od niedawna Rafałek i Dulcinea. W porzą... Nie! Dwie żywe, brzęczące muchy w uporządkowanym pokoju panny Walerji. Loty i przeloty tu i tam. Uśmiechy na dzieńdobry. Cukier i okruchy na papierku. Radosna myśl przy wstawaniu — są! Niespokojne, szukające wejrzenia po ścianach — są! Niespodziane ściśnięcia serca — niema! I to dla kogo? Dla dwóch małych much! Ona — stateczna pana Walerja? Jakże to

się mieści w owych normach? Czy kto kiedy hodo-
wał muchy? Nazywał je po imieniu? Przecież to nie
psy, nie kanarki, nie koty! Panna Walerja uniosła się
w fotelu. Ale ciepła, dobrze znana cisza jej pokoju
przyniosła jej uspokojenie. Nie! do czego mogą do-
prowadzić te głupie myśli! Panna Walerja oparła się
o poręcz i roześmiała nagłos.

Nienormalna? Uśmiecha się do tych much—no
to cóż? Ale pozatem czyż nie zachowuje się tak, jak
wszyscy? Czyż oprócz tych rzucanych często spojrzeń
i czynności przy karmieniu much wykonywa jakieś
gesty, czy uczynki, któreby nie były gestami innych
osób? Panna Walerja sięgnęła do torebki i włożyła do
ust apetyczną pomadkę.

Bzz... Rafałek i Dulcinea, znęcone słodyczą, wio-
nęły do panny Walerji. Ujrzała je, jak dwa ciemne
punkciki, przelatujące na tle nasturcyj. I pannie Wa-
lerji przyszła nagle do głowy dziwaczna myśl. Ot tak,
ni z tego ni z owego. Spróbuje, jak to się jest osobą
nienormalną.

Zerwała się z fotela i zaczęła posyłać obu mu-
chom pocałunki od ust. Spłoszone muchy odfrunęły
w drugi koniec pokoju.

— Nie bójcie się, moje ptaszyn! Nie bójcie się,
maleństwa! — pisnęła panna Walerja umyślnie zmie-
nionym głosem.

Głos ten zadźwięczał tak dziwnie, że panna
Walerja wybuchnęła śmiechem. — Gdyby mnie teraz
kto zobaczył,—pomyślała, zaśmiewając się do łez,—na-
 pewno wziąłby mnie za warjatkę! Ale, jako warjatka,
mogłabym trochę potańczyć. Ot tak.

Panna Walerja wybiegła na środek pokoju, unio-
sła nieco sukienki i jedną, potem drugą nogą wyko-
nała skomplikowane pas. Ten ruch rozweselił ją
jeszcze więcej i podniecił. — Cóż to szkodzi? Trochę
gimnastyki mi się przyda, a przecie nikt nie zoba-
czył! — myślała panna Walerja, przeginając się wdzięcz-
nie w tańcu.

Sama nie wiedziała, jak długo trwał ten taniec.
Pomyślała raz, czy dwa:—no, już chyba dosyć!—ale ja-
koś nie chciało się jej przestać. Gdzieś się też zapo-
działa jej wesołość. Wykonywując te cudaczne, bez-
rozumne ruchy, panna Walerja czuła, jak każdy z nich
robi się konieczny, logiczny, wypływający jeden z dru-
giego, jakby poddany czyjejs obcej woli. Jakby każdy
z nich dopełniał czegoś ważnego, czegoś, co się już
odstać nie może, a co przybliża ją, pannę Walerję,
do granicy nieznanego. Tańcząc tak, panna Walerja
tańczyła jakby po fotelu, po książkach i po bego-
njach, po umywalce i kilimkowych nasturcjach swego
pokoju. Po godzinach biura i po całym swoim ży-
ciu. Upajało to, zaciekawiało i napawało razem dziw-

nym przestraczem. Rafałek i Dulcinea, zmęczone tym
płasem, czy też porwane wirem powietrza, krążyły,
brzęcząc, nad głową panny Walerji.

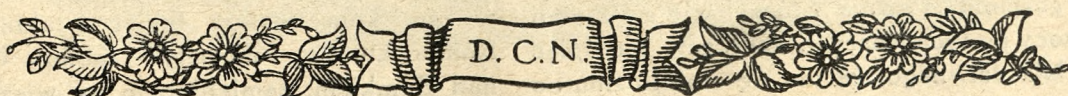
Wreszcie wyrwała się jakoś tym podrygom. Za-
dyszana i zgorszona zatrzymała się na środku poko-
ju. — I to wszystko przez te głupie muchy! — pomy-
ślała z niechęcią.—Muszę teraz wyglądać, jak prawdzi-
wa warjatka! — Zataczając się jeszcze cokolwiek, po-
deszła do lustra. Niespodzianką prawie była patrząca
stamtąd twarz.

Twarz panny Walerji nosiła na sobie ślady mi-
nionych latek, ale ujętą w ciemne karby włosów
i przyprószoną umiejętnie pudrem, sama Panna Wa-
lerja określała mianem „jeszcze niczego“. Nie powtó-
rzyłaby teraz tego określenia. Postrzępiły się karby
włosów, osypał się puder w tańcu. Z ramy lustra
wyrzały na pannę Walerję oczy obce, ciemne, roz-
szerzone, ogromne. Poczzerwienie usta wykrzywiły
się w nieprzyjemnym uśmiechu. Panna Walerja prze-
raziła się nie na żarty i pomyślała jednocześnie:
a gdyby tak kiwnąć jej głową?—Kiwnęła głową i ode-
brała wzamian warjackie kiwnięcie. — To jestem ja—
myślała panna Walerja i robiła przed lustrem straszli-
we grymasy. Znow powrócił nastrój tańca. Nie chcia-
ło się jakoś przestać. Usta, nos, policzki i oczy pan-
ny Walerji jęły wykonywać w lustrze jakieś cudackie,
nieobliczalne, a jednak wiążące się ze sobą ruchy,
ruchy same dla siebie. Ruchy, niezależne od jej woli.
Zdawało się pannie Walerji, jak wtedy, gdy tańczyła,
że każdy taki ruch dokądś prowadzi, że wpatrzona
tak w swoje (ale czy napewno swoje?) odbicie, wcho-
dzi niejako w to lustro, że idzie, że idzie gdzieś na
tamtą stronę.

Ze strachem rozkazała sobie zaprzestać. Odsko-
czyła z wysiłkiem od lustra. Poczowała się dziwnie
zmęczona. — Nie! co ja wyprawiam, co ja dziś wy-
prawiam?! a wszystko przez te głupie muchy! — pomy-
ślała panna Walerja. I, dusząc się od śmiechu, upadła
na łóżko.

Tego wieczoru panna Walerja nie czytała zupeł-
nie. Nie opróżniła też torebki z pomadkami, ba!—nie
jadła nawet kolacji.

Ułożywszy się na noc, leżała wyciągnięta na-
wznak pod kołdrą. Jakies zabłąkane światło przesie-
wało się przez firankę i układało smugą na suficie.
Panna Walerja zapatrzyła się w to światło i rozmy-
ślała o głupstwach, popełnionych tak niedawno. W gło-
wie jej, jak to bywa nieraz przed zaśnięciem, wszyst-
ko układało się z dziwną przejrzystością. Przebiegła
gdzieś wpobliżu panny Walerji niewidzialna, straszli-
wa granica. Granica, poza którą zaczynało się już
tamto. Życie bez norm.



53-CIA ŚRODA LITERACKA W WILNIE

Od naszej korespondentki

W każdą środę, koło godziny siódmej wieczorem, człowiek z przyzwyczajenia zaczyna się śpieszyć, załatwiając byle jak rzeczy mniej ważne, pomny, że czeka go rzecz w tygodniu najważniejsza, a mianowicie: Środa Literacka.

Lokal, gdzie odbywają się zebrania, składa się z dwóch pokoi, komnat raczej, surowych w spartańskiej prostocie. Mieści się w nich biblioteka Wydziału Sztuki U. S. B. Co środę odbywają się w tych murach zebrania literatów oraz ich sympatyków z miasta. Parę tygodni temu Zarząd Związku Literatów w Wilnie uczcił niespodziankami 50-ą jubileuszową Środę Literacką, a niedawno gościła ona literatów z Warszawy, Poznania i Lwowa, którzy przybyli na Zjazd do Wilna i z których wielu nam Środy zazdrości.

Stojąc w drzwiach, prowadzących do pierwszego pokoju, od razu zauważyłam nad dużym stołem w głębi genialną czuprynę naszego skarbnika p. Szeligowskiego, którego wesołe oczy uderzyły we mnie kategorycznym nakazem. Wiedziałam, o co chodzi i poszedłam pokornie:

— Mogę dać dwa złote! — rzekłam niepewnie.

— Owszem! Ale to będzie jeszcze za lipiec — zauważył pogardliwie niezmordowany kasjer.

Pominięłam milczeniem tę uwagę i, złożywszy ofiarę Molochowi organizacji, poszłam dalej, witając się na prawo i lewo.

Dobra to rzecz — ta Środa! Wszystko tu takie znane i takie miłe ogromnie!...

Robi się coraz ciasniej, półgłosem prowadzone rozmowy nabierają werwy; młodzian, podobny do rudego Absalona, wnosi, ciężko dysząc, ogromny samowar; na długich stołach, pokrytych zielonym papierem, zjawiają się talerzyki z babką i pierniczkami, — a prelegentów dzisiejszych jeszcze nie ma. Oto już jest prezes Związku Literatów, pan Rektor Pigoń, ze zwykłym, trochę roztargnionym, a dobrym uśmiechem. Ściska dłonie gości i żegluje pomiędzy tłumem w stronę honorowej ściany, gdzie są miejsca dla prezydium, prelegentów i niezwykle śmiertelników. Niedawno siedział tam Kazimierz Wierzyński i Słonimski, którego artykuł o Zjeździe literatów przeczytali wrażliwi Wilnianie z pewną urazą, ale, że są dobrodusznymi, pocieszyli się łatwo. Jeden z Wilnian (nie literat, lecz zwyczajny porządny człowiek) rzekł do mnie frasobliwie:

— Może pan Słonimski miał niewygodnie na kwaterze? Bo to trzeba było porządnie dać zjeść i wypaść się gościom. Pewnie włóczyliście się z nimi od rana do nocy po tych waszych zaułkach, nie śpiąc i nie jedząc. Nic dziwnego, że mu się zrobiło smutno

i ponuro. Grunt — żołądek, panie dobrodziej... Zrobiliście im kołdunów, naprzykład?

— Nie.. — odrzekłam, wysilając pamięć, — zdaje się, że nie jedli nic podobnego.

— O, to niedobrze! To już brak gościnności. Żeby tak na mnie, tobym mu i miodku przyniósł do poduszki. Bo to, panie, jakiś pesymista... A wszystko z żołądka. Ot i przykreść wyszła „Wilno“ — mówi — „brudne i ponure...“ Ot i nieładnie, panie dobrodziej. Czegoś — znaczy — nie dopatrzeli.

— Staraliśmy się! — rzekłam z westchnieniem.

— Starali się, to starali, ale głupstwo jakieś zrobić musieli, kiedy taki poeta, a ot — i niezadowolony.

.....

Wracam jednak do Środy Literackiej. Gdy już dwa żelazne piece w połączeniu z ożywioną i coraz głośniejszą rozmową zebranych oraz buchający parą samowar rozgrzały dostatecznie atmosferę — w otwartych drzwiach stanął najpotężniejszy filar Śród Literackich, jako też ich organizator: czarnowłosy pan Witold Hulewicz. Za nim wszedł jeden z prelegentów, pan Stanisław Węśławski. Wkońcu ukazał się z rozwianym włosiem i daleko patrzącymi oczyma prof. Mieczysław Limanowski, niezmiernie popularny wśród wileńskiego społeczeństwa, jeden z nielicznych ludzi, którzy, nie starając się, zdobywają ludzkie serca.

Psst!.. Są już wszyscy potrzebni... Należy więc zgromadzić się w dalszym pokoju przy stołach.

Głos zabiera prof. Limanowski. Ma mówić o Lublinie. Wstaje i wybucha, jak zwykle. Dla tego dziwnego człowieka niema rzeczy małych i tematów zwyczajnych. Czego się tylko dotknie, to nabiera ważnej treści...

Jest Lublin!.. A my Lublina nie znamy. A to miasto się morduje, starając się zdać sobie sprawę, jaki jest jego los i przeznaczenie w Rzeczypospolitej. Profesor Limanowski właśnie wraca stamtąd. Jest pełen Lublina. Rzuca na stół wydawnictwa lubelskie regionalne. Mówi o ludziach, tworzących tam ruch regionalny. Zaznacza, że wszyscy oni, niezmiernie do Lublina przywiązani, nie są jednak lubliniakami...

W tem miejscu następuje lekkie poruszenie, dzięki głosom z publiczności: „no, a nasi regionaliści?“...

Tymczasem profesor Limanowski pali się dalej. On już Lublin wziął do serca: cierpi nad brakiem w nim konserwatora takiego, jakim u nas jest pan Romer, którego — niestety — zabiera Warszawa; boleje nad Zamkiem, zamienionym na więzienie — pragnął-

by dopomóc miastu, które chce siebie odnaleźć. Rzuca nazwisko Hieronima Łopacińskiego, który tyle zrobił dla Lublina... — pani Ochenkowska, zazdrosna o nową miłość profesora - entuzjasty, odrzuca mu nazwiska naszych wybitnych działaczy. Prof. Limanowski się gniewa, bo nie lubi, gdy mu przeszkadzają, wicherzy sobie włosy na głowie i miażdży spojrzeniem nieustraszoną panią Helenę, która uśmiecha się lekko i nie bierze tego do serca.

Profesor Limanowski znów daje wybuchnąć gorzącym w nim płomieniom, mówiąc o tablicy, wmurowanej w Magistracie lubelskim na cześć Wilna, które wróciło do Polski. Mówi o żarliwej miłości, jaką należy mieć w sercu dla wszystkiego, co się mieści w granicach Rzeczypospolitej. Każe nam Lublin pokochać...

A więc dobrze: będziemy kochali! Słodko jest na taką miłość sobie zezwolić.

Mówca wyczerpał rzecz o Lublinie. Ma jeszcze oczy natchnione... Miał powiedzieć coś więcej... Ale jest już godzina 9 i pół... Brzęk szklanek sprowadza go na ziemię... Są jeszcze inni prelegenci. Więc siada, biorąc machinalnie szklanek herbaty... Oklaski... Podczas chwilowej przerwy, spowodowanej prozaiczną czynnością popijania herbaty, wstaje pan Gregor, proponując utworzenie listy składek na mauzoleum dla Kasprowicza.

Pan prezes Pigoń lekkomyślnie zrzuca kawałki babki z małego talerzyka, a położywszy nań pieniądze, proponuje, aby puścić talerzyk w ruch i nie odkładać tego, co się ma zrobić. Z tłumu wynurza się obfita czupryna p. Szeligowskiego, który zgłasza wniosek, żeby Związek Literatów wyasygnował większą kwotę od siebie. Propozycja jest przyjęta z uznaniem.

Po ożywionej dyskusji na ten temat z p. kasjerem należało nałożyć tłumik na rozmowy, gdyż wstał następny prelegent, p. St. Węśławski, który dał wiankę ciepłych słów o Schubercie.

Obecni ruszyli teraz do przyległego pokoju, gdzie królował nowowynajęty fortepjan Schredera, aby wysłuchać pieśni Schuberta w wykonaniu pani Święcickiej.

Potem wróciłam do naszej głównej sali, gdzie byłam niemy, a uważnym świadkiem dyskusji o szkolnictwie mniejszościowym i szkole utrakwistycznej, które to kwestje interesują mnie bardzo. Lubię sposób mówienia pana Kuratora, który w tej sprawie najwięcej miał do powiedzenia, — sposób spokojny, beznamiętny, a życzliwy w stosunku do oponentów... Nie wiem, może się mylę (ale dlaczegożby



„Środa” w Wileńskim Związku Literatów z udziałem znakomitego pisarza angielskiego Chestertona

mylić się miała?), jeżeli sędzę, że nigdzie niema tylu zacnych ludzi, jak w Wilnie.

A ponieważ serce mam do głębi wdzięczne, więc tym, którzy stworzyli placówkę, gdzie się ma możność z kwiatem społeczeństwa tutejszego obcować, jeszcze raz muszę wyrazić swoje głębokie uznanie...

Wysłałam trochę przed zakończeniem wieczoru i zanurzyłam się w gęstą, białą mgłę listopadową, która szczelnie owineła Wilno.

Stałam przy kratkach ogrodu Zamkowego, spoglądając w głąb, gdzie elektryczne lampy, podwójnie wielkie od nawiniętej na nie mgły, prosiły sennem złotem w fantastyczne aleje, w przezroczyste szpalery, wolnym strumieniem odpływające w nieskończoność.

Poszłam dalej i o kilka kroków dużymi łodygami jasności wyrosły z mgły słupki ogłoszeniowe, zakwitające u góry jaskrawą czerwienią.

Ulice rozpląnęły się szeroko i niewyraźnie, zatarły wszystkie perspektywy, zamazały połyskliwość lamp, rozświetlających ich tajemnicę, i stały się już tylko niepokojącą baśnią o zagubionej przestrzeni.

Więc się stapało ostrożnie i w milczeniu, dziwiąc się przenikliwemu szczęściu, co wypełniało serce całe i wzbierało już ponad jego krawędzie, stając się cichym, zachwyconym bólem u szczytu.

Dobrze, że są na świecie listopadowe bajki, zacierające ostre kontury rzeczywistości, i dobrze, że gdy mgła opadnie—wynurzy się z niej o poranku realne Wilno, które nie jest bajką i może poddać dłoni, wyciągającej się ku niemu miłośnię, chropowaty grzbiet starych, napojonych jesiennym chłodem, murów.

Wilno, 23 listopada 1928 roku.

Eugenja Masiejewska.



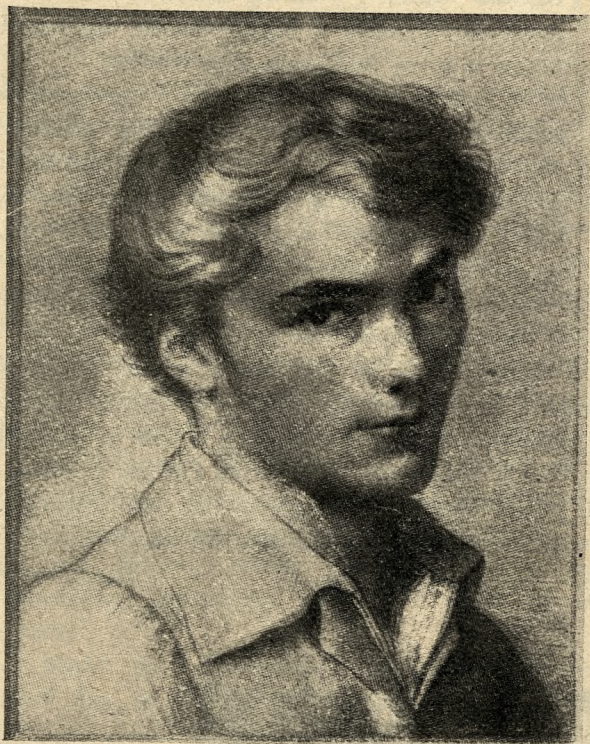
Z ŻYCIA MUZYCZNEGO

Setna rocznica śmierci Franciszka Schuberta—Koncerty schubertowskie.

Podciągnięto w górę kurtynę z przed stu lat i dla uczczenia pamięci pierwszego romantyka cofnięto się w żywą kartę dziejów z epoki Franciszka Schuberta. Z biograficznych rozpamiętywań powiało beztroskiem, rozbawionem tchnieniem pogodnego Wiednia, mieszczańskich upodobań, skromnego horyzontu i małych wymagań ludzi „Biedermayer“, opromienionych niegasnącym wdziękiem starowiedeńskiej patyny, na tle barwnego Wienerwaldu i modrego Dunaju. A była wtedy cesarska stolica w pełni swego modnego sezonu; od czasu pamiętnego w historii — wiedeńskiego kongresu — zaczął się jej styl: począwszy od głowy, trefionej w długie loki, wciętej talji i krynoliny z falbankami u wiedeńskiej „mademoiselle“, a wysokich kołnierzy, ochrzczonych zabójczym terminem „Vatermörder“, i kolorowych fraków, w których chadzały dobroduszne fircyki—aż po porywający walc wiedeński i organicznie związany z naddunajskim miastem rytm na trzy czwarte; od krotochwili, która wesołą piosenką, śmiesznym kupлетem, łatwym konceptem i niefrasobliwym wdziękiem akcji ściągała tłumy rozśpiewanej publiczności, aż po muzykę kameralną, która królestwo swoje obrała w zaciszu mieszczańskiego domu, w postaci smyczkowych kwartetów i romantycznej pieśni. Zdawało się, że świat zmałał od upadku Napoleona; wszystkie szczytne ha-



Schubert w wieku starszym — rysunek M. Schwinda



Schubert w wieku młodzieńczym — portret Kupelwiesera

sła, w imię których bryzgało się krwią, rewolucja, kampanja bohaterskiego syna Korsyki, która ogarnąć chciała świat cały—były tylko wielkiem przejściem z epoki rokoka do sytego mieszczaństwa i pogodnej burżuazji—jakiś paradoksalnem zakończeniem zamierzeń, na gigantyczną miarę zakrojonych. A że życie i wielkie wypadki znajdują swój oddźwięk w sztuce i literaturze, w pieśni i muzyce—tytaniczna siła beethovenowskiej symfonji stanęła na takiej wyżynie tonów, że odtąd musiał zacząć się zmierzch tej najpełniejszej formy instrumentalnej. Nowa epoka była znacznie skromniejsza; z początku dolatywała tylko, jako echo wolnościowej pieśni z pola walki, które odtajało przy ciepłym kominku rodzinnym; potem przestoczyła się w skargę śpiewaną o niewysłuchanej miłości i o nieziszczalnym szczęściu, które, jak stare urojenie, brzmiało na tle unormowanej doby pokongresowych dziejów. Pieśń o tęsknocie do nieistniejącej rzeczy — nazwano romantyczną, wyznaczono jej naczelne miejsce w modnej epoce i oddano w arendę wiedeński dom mieszczański, z jego nieodłącznym fortepianem. Tak się jakoś dziwnie stało, że niepozorna pieśń, śpiewana przy akompaniamencie fortepianu, mająca za audytorjum jedynie domowników i dobrych przyjaciół rodziny, wyparła pompaticzną symfonię. Ale muzyka nie straciła patosu; stała się tylko prostszą i szczerzą w wyrazie, łatwiejszą do

zrozumienia przez śpiewane słowo, któremu za tekst posłużą rymy romantycznej poezji.

Każda epoka ma swojego geniusza, który ją opiewa.

Dla muzyki romantycznej pierwszym pionierem przekomponowanej pieśni, rzecznikiem nowej formy, był Franciszek Schubert, ulubieniec domów mieszczańskich, chluba wiedeńskiego romantyzmu i duma śpiewaczego kunsztu. Godnie przeciwstawił się romantyzm klasycyzmowi. Tylko, że protektorami klasycznych koturnów byli, poza aureolą dworu, utytułowani magnaci, gdy pieśń romantyczna pozyskała serca dobrodusznej burżuazji, którą dla jowialnego humoru i częstotliwego nazwiska nazywano w Wiedniu: „die biederer Mayers“. Cisza była, jak w kościele, kiedy Schubert, choć nie był wirtuozem, grał na fortepianie, a liryzm i słodka kantylena w melodii rozrzewniały słuchaczy do łez. Pieśń, jako miniaturowa forma, najbliższa uczuciu tkliwego serca, pozostała Schubertowi wierną przez sto lat i przetrwała inny dorobek pierwszego romantyka. A były w tym dorobku symfonie, utwory kameralne, kościelne, sceniczne i fortepianowe, które, pisane w szybkim, gorączkowym tempie przez człowieka, przeczuwającego rychłą śmierć, rozwijały się świetnie, jako zapowiedź twórczości, która mogła objąć wielkie horyzonty, gdyby nie śmierć nieubłagana w 32 roku życia! Wyżyny symfonii beethovenowskiej pozostały dla Schuberta nieziszczalnym marzeniem jego najmłodszych lat; a kiedy zdawało mu się, że ich osiągnięcie, zostawił wśród potomnych jedynie wspomnienie geniusza, który nie zdążył się wypowiedzieć.

„Szubertiady”, zebrania towarzyskie wśród przyjaciół-artistów, niosły w szeroki świat sławę talentu pieśniarza; one jedne pozostały prawdziwą areną jego triumfów; wszystko, co wymagało dla wystawienia teatru i estrady, paraliżowała skromność i potul-

ność Schuberta, deptana przez złą wolę ludzi. Nędzę i ubóstwo, które mu zgotowali wydawcy, przyjmował z dobrotliwym, zrezygnowanym uśmiechem i pokorą św. Franciszka z Assyżu. Przez dziesiątki lat symfonie jego spoczywały w zapomnieniu; dopiero w długi czas po śmierci Szuberta dano utworom jego możliwość brzmienia; swoich utworów scenicznych pieśniarz nigdy nie widział w teatrze! A jednak muzyka ich pozostanie niezrównaną w melodji i liryzmie ilustracją romantyzmu.

Pieśni Schuberta, które obejmowały teksty poezji niemieckiej, były pełną gamą jego romantyzmu. Wyśpiewał je tak wiernie, jakby rytm jego serca bił w takt słów patetycznych i romantycznie nastrojonych.

„Piękna młynareczka” — to cykl pieśni zakochanego, zawiedzionego okrutnie, ale niezupełnie straconego serca. W „Podróży zimowej” pieśń brzmi zawsze skargą, rezygnacją i wspomnieniem ciężkich przeżyć, a „Śpiew łabędzi”, ostatni w twórczości Schuberta, łączy słodki liryzm z dramatyczną siłą wyrazu, największą i najszczerzą w całej poezji niemieckiej.

Sto lat pieśni, nie zmartwychwstałej dla jubileuszu, ale żyjącej zawsze tętnem nieśmiertelnego geniuszu, obchodzi rocznicę śmierci swego twórcy, uznanego i docenionego przez potomność, która pomnikiem wielkiego kultu dla Franciszka Schuberta chce zatrzeć krzywdę, wyrządzoną pierwszemu romantykowi przez współczesnych.

W Warszawie urządzono szereg koncertów jubileuszowych ku czci wielkiego pieśniarza. W Filharmonji wielkim koncertem symfonicznym dyrygował kapelmistrz wiedeński, Robert Nilins, który z całą subtelnością i wrażliwością podkreślał w orkiestrze efekty przepięknej melodji w uwerturze „Zauberharfe” i „Niedokończonej” symfonji.

Pianista Egon Petri wykonał z brawurą „Wariacje”, „Wandererfantasie” i „Marsz wojskowy”, kładąc głównie nacisk na błyskotliwość techniczną. Tylko pieśni, śpiewane przez Marię Freundową z towarzyszeniem orkiestry, nie były w ramach szubertowskiego stylu. Pieśni Schuberta żyją, bowiem, tylko z fortepianem: w orkiestrze melodja, ujęta zawsze w charakterystyczną dla tekstu rytmikę i biegniki fortepianowe, — rozplywa się najzupełniej, choćby w transkrypcji Mottla i Regera.

Ciekawy był wieczór kwartetu drezdeńskiego, urządzony w Konserwatorium przez dyrektora H. Markiewicza, ku czci Schuberta. Wysmakłe kontury i przeczysta jasność melodji, szczególnie w sławnym kwartecie d-moll, z warjacjami na temat pieśni „Śmierć i dziewczyna”, miała interpretację o najsubtelniejszym frazowaniu i pozostawiła u słuchaczy niezatarte wspomnienie stylowego wieczoru. P. L.



Schubert wśród przyjaciół — akwarela Kupelwiesera

TAMPONOWANIE NA JEDWABIU

Po batikach i liworze mamy obecnie modę tamponowania na materiałach. We wszystkich sklepach z kapeluszami i galanterją damską widzimy całe kolekcje szalików, polecanych, jako „paryska nowość”. Można je kupować bez wyrzutów sumienia, że wzbogacamy zagranicznych wytwórców: — wszystkie te szaliki, wzorowane wprawdzie na paryskich, ale nie gorsze od nich, robione są na miejscu. Kto ma trochę gustu i zręczności, może sobie za cenę jednego kupionego w sklepie szalika zrobić nawet kilka własnoręcznie, tamponowanie bowiem nie jest rzeczą trudną, wymaga tylko trochę wprawy, której możemy nabyć, wypróbując szablony na skrawkach jedwabiu, jakie z pewnością znajdziemy w domu.

Do tamponowania potrzeba: odpowiednich farb, (mamy farby krajowe prof. Buszka, absolutnie nie ustępujące zagranicznym, a znacznie tańsze) oraz pendzelków, tępo ściętych, o krótkim włosie. Rzeczy te możemy nabyć w składach przyborów malarskich. Szablony natomiast musimy zrobić samodzielnie. Farb możemy używać dwojakich: albo specjalnych do tamponowania (z niebieską etykietą), albo przezroczystych, do malowania na jedwabiu. Każdy z tych rodzajów farb ma swoje zalety i swoje trudności, które omówimy pokolei. Farbami do tamponowania pracujemy na materiale, zwilżonym wodą (zmocznym i wyciśniętym przez ręcznik); farby te kładą się równiej; przy malowaniu niemi, nawet nie posiadając wprawy, łatwiej uniknąć szpecących robotę smug; dają kontury bardziej miękkie i delikatniejsze. Wadą ich jest, że prac je można tylko w benzynie. Istnieje wprawdzie utrwalacz, który pozwala na pranie w wodzie, nie daje jednak absolutnej gwarancji trwałości barwy. Trwałość ta, bowiem, zależeć będzie nie tylko od farby, którą malujemy, ale i od materiału, użytego na szal: od jego włókien, stopnia nagumowania i chemikalijskich użytych do farbowania i utrwalania w fabryce. Może się zdarzyć tak, że farba do tamponowania, zastosowana na danym materiale, po utrwaleniu przez nas, będzie zupełnie odporna na wodę i mydło, a na innym — rozpuści się nawet bez prania, pofarbuje szyję właścicielki szala i zniszczy jej ubranie. Dlatego trzeba próby trwałości każdego użytego koloru dokonywać na kawałku tego samego materiału, z którego mamy zrobić szal, czy apaszkę.

Pozatem, uprzedzam odrazu, że sama technika tamponowania, t. j. wcierania farby prawie suchym pędzlem w materiał, jest mniej trwała, niż malowanie; przy pierwszej, bowiem, technice farba leży raczej na włóknach i tylko minimalnie w nie wsiąka (desen tamponowany prawie nie przechodzi na drugą

stronę); przy drugiej — przesyca włókna tkaniny w zupełności.

Farbami przezroczystymi do malowania pracujemy na materiale suchym, otrzymujemy zatem nie tak miękkie i rozlewne kontury, zato farby te po wyschnięciu doskonale piorą się w wodzie i nie wymagają żadnego utrwalania.

Motywy zdobnicze, używane w tamponowaniu, są jaknajprostsze: kółka, kwadraty, linje proste i fałiste, przecinające się, zęby i t. p.

O piękności roboty, poza dokładnością wykonania, stanowić będzie umiejętność zestawienia kolorów, które, przenikając się, dają bardzo oryginalne efekty.

Każdy poszczególny motyw deseni otrzymujemy w ten sposób, że wycięty w grubym papierze (brystolu) szablon przykładamy do materiału i przytrzymujemy mocno, aby brzegi nie odstawały, a następnie wcieramy farbę w materiał w miejscu wycięcia szablonu. Prowadząc pędzel kilkanaście razy po tem samym miejscu, otrzymamy kolor ciemniejszy, wcierając mniej — jaśniejszy. Należy pamiętać, że pędzel musi być prawie zupełnie suchy: jeżeli tylko obawiamy się, że nabraliśmy za dużo farby, należy przeciągnąć kilka razy pędzlem po bibule, która jest niezbędnym akcesorjum przy tamponowaniu.

W celu uregulowania ilości barwnika na pędzlu, farbę do tamponowania wylewa się na szkło (przepis na etykiecie), a farby do malowania — na płytkę, porcelanową miseczkę, po trochu, gdyż farby te, jako oparte na eterze, prędko wysychają.

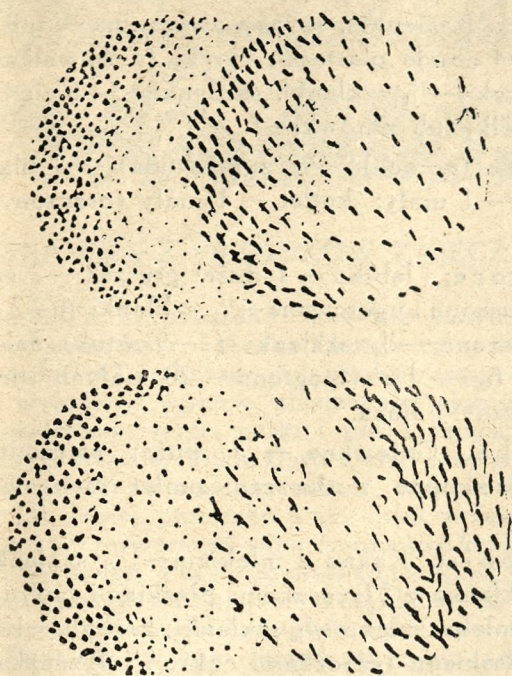
Ruchy pędzla nie powinny być bezładne, lecz o ile możliwości muszą iść w dwóch zasadniczych kierunkach. Nie powinno się również zatrzymywać pędzla pośrodku przestrzeni tamponowanej, ruch powinien być zawsze od brzegu do brzegu szablonu: w ten sposób unikniemy tworzenia się plam. Mniejsze szablony przytrzymujemy zazwyczaj palcami lewej ręki; jeżeli chodzi o utrzymanie długiej linii wzdłuż całego brzegu, można pasek brystolu przypiąć pluskiewkami z dwóch końców i przyciskać ręką do materiału kolejno te miejsca, wzdłuż których kładziemy farbę, nigdy, bowiem, nie zakładamy całej długiej linii odrazu.

Ważną rzeczą jest dokładne napięcie pluskiewkami materiału na stole lub desce, gdyż tylko wtedy mamy pewność, że materiał nie przesunie się od ruchu pędzla.

Farby do malowania wysychają odrazu, farby do tamponowania — w kilka godzin, poczem utrwalamy je.

Jedne i drugie farby pozwalają na mieszanie kolorów. Do rozrzedzania farb i mycia pędzli istnieją specjalne płyny.

Utrwalacz rozrzedza się wodą w stosunku podanym na etykiecie flaszeczki,



Sposób otrzymania różnych efektów barwnych przy użyciu tego samego szablony i tych samych dwóch kolorów

Pendzli trzeba mieć tyle, co kolorów w danej robocie; po ukończeniu należy umyć je starannie i używać, o ile można, do kolorów tych samych lub podobnych, t. j. pendzel od różowej farby można użyć do czerwonej, ale nie do zielonej lub czarnej.

Przy tamponowaniu pendzel trzeba trzymać prostopadłe do materiału. Farby do tamponowania są bardzo oszczędne, wychodzi ich niewiele; farb do malowania marnuje się trochę wskutek szybkiego wysychania na miseczce; w każdym razie jedna flaszeczka za zł. 1 60 starczy na dwie apaszki. Kolorów do jednej chustki nie radzę brać więcej, niż dwa, maximum trzy, a widziałam bardzo ładne wzory w jednym kolorze. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że przecinanie się dwóch kolorów daje trzeci, że wskutek cieniowania otrzymujemy całą gamę tonów,—musimy się starać raczej unikać nadmiaru, niż obawiać się zbyt nikłych efektów w tej bogatej technice.

Na dołączonym do numeru niniejszego arkusza wzorów podałam wzór apaszki tamponowanej.

Jadwiga Prażmowska.



Wyraźne cieniowanie jednym kolorem

ODŻYWIANIE A ZDROWIE

Gdy chodzi o oszczędność, t. j. gdy pożywienie takie, jak mięso, ryby, jaja, a nawet, niestety, mało dostępne u nas mleko i ser—mogą być używane tylko w małej ilości, trzeba pamiętać, że pierwszeństwo mają dzieci i kobiety — w czasie trwania ich życia płciowego—podczas, gdy fizycznie lub umysłowo pracujący mężczyzna powinien być na drugim planie.

Jakież są wytyczne przy układaniu normalnej, zrównoważonej diety?

I. Dostateczna ilość kaloryj, aby podtrzymać wagę ciała.

II. Właściwy stosunek wzajemny pomiędzy ilością węglowodanów, tłuszczu i białka.

III. Dostateczna ilość białka dla podtrzymania wzrostu i odświeżania rozkładających się ciągle komórek w naszym organizmie.

IV. Dostateczna ilość witamin A, B, C, D.

V. Dostateczna ilość soli mineralnych i właściwy stosunek między niemi.

VI. Dostateczna ilość objętościowych substancji, które przechodzą niestrawione i w ten sposób regulują wypróżnienia.

VII. Woda dla trawienia, absorpcji i wydzielenia oraz regulacji temperatury ciała.

VIII. Dieta musi się składać z posiłków, przyrządzonych tak, aby jak najmniej wartościowych składników pokarmowych się marnowało, aby potrawy były smaczne i podawane w estetycznej postaci.

Wielu chorobom jest znacznie łatwiej zapobiec, niż je wyleczyć. Typowym przykładem w tym względzie jest otyłość. W niewielu wypadkach przyczyną otyłości jest brak pewnych wydzielin wewnętrznych (np. z gruczołu tarczycowego); przeważnie nadmiar wagi ciała jest oznaką, że dostarczanie pokarmów, wytwarzających energję, jest większe, niż zużytkowanie tej energii na aktywność mięśni.

Właściwy bilans między energją pobraną i zużytą jest naruszony, gdy prowadzi się tryb życia siedzący i gdy się „zbyt dobrze jada”. Nieodłączną konsekwencją tych dwu okoliczności jest osłabienie krążenia krwi. Wątroba, nerki i trzustka przestają funkcjonować normalnie. Cukrzyca zdarza się częściej u osób otyłych.

Aby wiedzieć, co i jak jeść, trzeba rozumieć pewne rzeczy o funkcjonowaniu ludzkiej maszyny. W maszynie parowej opał jest spalany, aby produkować parę. Nasze pożywienie jest tym opałem i gdy jest strawione i zasymilowane, daje energję, potrzebną do życia i ruchu. Jak węgiel jest mierzony na ilość jednostek opałowych, tak i pożywienie jest mierzone w ilościach t. zw. kaloryj. Przeciętny dorosły człowiek, o siedzącym trybie życia, wymaga pożywienia, które daje 2300—2800 kaloryj dziennie. Gdy więcej jest wzięte, tłuszcz może być zmagazynowany, gdy

mniej — organizm zużywa tłuszcz, odłożony w naszym ciele.

Przez spożywanie 1200 — 1400 kaloryj każdego dnia, zamiast 2300 — 2800, można stracić około 1 — $\frac{1}{2}$ funta tygodniowo. Gdy w tym samym czasie prowadzimy dobrze rozłożone ćwiczenia, wiotkie mięśnie stają się jędrne. Plan, który polecam przy obchudzaniu się, musi być następujący:

- 1) Dokładne oględziny przez lekarza;
- 2) określenie ilości nadmiaru wagi i czasu, w którym chory na otyłość może stracić ten nadmiar;
- 3) dieta musi być skonstruowana przez osobę, która się na tem zna;
- 4) ilość ruchu musi być zupełnie ściśle określona przez doktora.

Typowe menu, dające około 1400 kaloryj dziennie:

I Śniadanie: Grzanka z bułki-kajzerki—100 k., jajko — 100 k., kawa z mlekiem — 100 k.

II śniadanie: Plasterek chudej pieczeni—100 k., 1 kartofel, lub bułka—100 k., jabłko—100 k.

Obiad: Talerz zupy (buljon, pomidorowa czy sta, rosół lub jarzynowa niezaprawiona) — 50 k.; befsztyk przypiekany bez tłuszczu, lub kawałek ryby pieczonej — 200 k.; 4 pomidory na surowo, lub kapusta kwaszona, albo kapusta na słodko z $\frac{1}{2}$ łyżeczką stopionego masła — 50 k.; kawałek chleba lub bułka — 100 k.; jabłko, gruszka, lub pomarańcza—100 k.

Kolacja: Bułka i 1 płaska łyżka masła do bułki—200 k., chudy twarożek—100 k., herbata z mlekiem lub cytryną.

Każdy może ułożyć takie menu, uwzględniając 7 zasad normalnej diety, o których mówiłam powyżej, i posługując się tabelką Nr 1, podaną poniżej.

Tabela Nr 1 daje porcje, które zawierają przeciętnie 100 kaloryj. Porce te nazwijmy jednostkami. Dieta na obchudzenie, zawierająca 1400 kaloryj, jest utworzona przez 14 jednostek. Dieta zaś na utycie, o której będziemy mówić później, zawierać będzie odpowiednio 2—2 $\frac{1}{2}$ razy więcej jednostek.

Warzywa — 100 kaloryj zawierają: Fasola— $\frac{1}{2}$ szklanki; buraczki—4 małe (2 cale w przekroju); kapusta świeża, szatkowana—2 szklanki ubite; kwaszona—1 $\frac{1}{2}$ szklanki; kalafjor—1 mała główka, ogórki kwaszone lub surowe—2 (o 7 calach długości); sałata—2 główki; groszek zielony, świeży lub z konserw— $\frac{3}{4}$ szklanki; cebula—2 małe; kartofel pieczony lub gotowany—1 średni.

Warzywa gotować należy na parze, lub w niewielkiej ilości wody i podawać bez przypraw.

Kasze: Jęczmienna lub gryczana— $\frac{1}{3}$ szklanki kaszy ugotowanej + 1 $\frac{1}{2}$ dk słoniny.

Płatki owsiane

Ryż

„Puffed rice“

Manna

Kaszka krakowska

) $\frac{1}{3}$ szklanki ugotowanej kaszy + $\frac{1}{4}$ szklanki mleka i $\frac{1}{2}$ łyżeczki płaskiej masła.

Mięso i ryby (zimne): Szynka w pęcherzu—2 plasterki b. cienkie; szynka zwyczajna—1 plasterek, boczek—4 chude plasterki; kurczę (w kawałkach, jak do potrawki)— $\frac{1}{4}$ szklanki; sardynki—3—6-ciu bez oliwy, serdelki lub parówki—1.

Mięso (gorące): Pieczeń (chuda) — 1 plasterek; befsztyk — 1 mały; kotlet — 1 mały (osączony z tłuszczu).

Owoce: Jabłko — 1 duże; gruszki — 2 średnie; morele suszone i ugotowane— $\frac{1}{4}$ szklanki (6—7 sztuk); śliwki suszone — $\frac{1}{4}$ szklanki (4—5 sztuk); daktyle — 4 sztuki; figi — 1 $\frac{1}{2}$; winogrona — 20 małych winogron; pomarańcze—1 duża.

Jajka: Gotowane — 1 duże; smażone — 1 małe, obsiknięte z tłuszczu; omlet piankowy — 1 średnie.

Napoje: Kakao z mlekiem—1 $\frac{1}{2}$ szklanki; kawa—1 szklanka z 2 łyżeczkami płaskimi cukru i 3—4 łyżkami mleka; mleko— $\frac{5}{8}$ szklanki; herbata—1 szklanka z 2 płaskimi łyżeczkami cukru i 1 łyżeczką śmietanki, lub 3—4 łyżkami mleka.

Tłuszcze i produkty z mleka: Masło — 1 płaska łyżka; śmietanka gęsta (lub śmietana)—1 $\frac{1}{2}$ łyżki; ser (twarożek chudy)— $\frac{1}{4}$ szklanki; ser szwajcarski—4 cienkie plasterki, pokrywające powierzchnię kajzerki; oliwa—1 łyżka; szmalec—1 łyżka.

Cukier—2 płaskie łyżki.

Przy układaniu jadłospisu unikać należy pokarmów, które mają wysoką wartość kaloryczną, a do tych należą: 1) masło, śmietana, tłuste mięso, tłuszcze roślinne, lub zwierzęce; 2) mączne potrawy i zaprawy: chleb, ciastka (chleb, bowiem, zwykle smarujemy masłem, które lepiej zachować do warzyw, zamiast zaprawiania ich mąką i tłuszczem, ciastka zaś zawierają prócz tłuszczu i cukru); 3) słodczyce i cukier (zachować do herbaty lub kawy dla dodania smaku).

Posiłki powinny być przyjmowane w regularnych godzinach, a wrzecie głodu, można w międzyczasie wypić wody, lub filiżankę buljonu, czy rosółu.

Pamiętać należy o jedzeniu codziennie pewnej ilości owoców i warzyw, których przyrządzanie podam w tabelce Nr II. Mięsa tylko chude, ryby i zwierzyzna bez tłustych sosów.

Marja Morzkowska.
mag. dietetyki.





POTRAWKA Z PRZODKÓW ZAJĘCZYCH

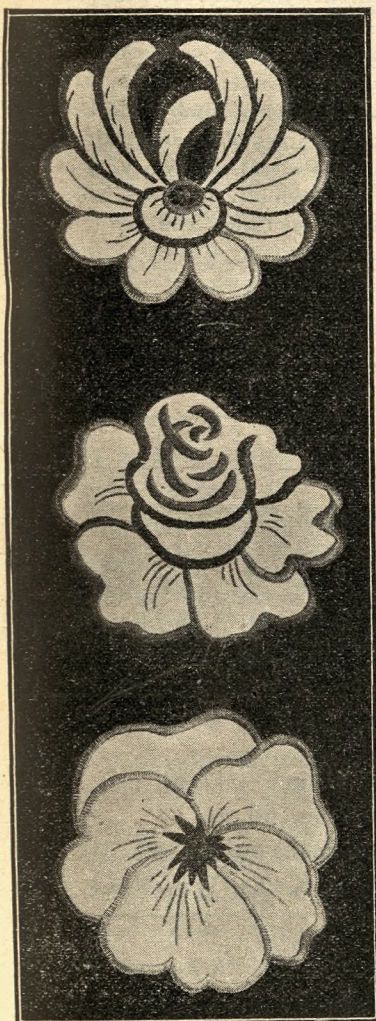
Starannie oczyszczone, lecz nie umyte łopatki z zająca, szyję, kark, żeberka i końce tylnych skoków ułożyć w foremkę glinianą, lub nieduży garnczek z pokrywą, wyłożony wpierw plasterkami słoniny. Dalej ułożyć wątróbkę, serce, nerki i płuca zająca, posolić, popieprzyć, wrzucić kilka ziarn zieleń, parę goździków i cały listek. Krew z zająca utrzeć, aby nie było kłuseczek, lub lepiej przetrzeć przez sitko, zmieszać z dużą szklanką czerwonego wina (może być krajowe), zalać tem potrawkę. Przykryć płatkami słoniny. Nałożyć pokrywę, zasmarować ciastem z mąki z wodą lub okleić paskiem pergaminu i wstawić na trzy godziny do pieca. Podawać w tem samym naczyniu. Oddzielnie

zrumienić na maśle kilka grzanek z bułki i podać na talerzu gorące. Potrawa amatorska, według mnie bardzo smaczna, nie każdemu jednak będzie się mogła podobać.

OZÓR I PASZTET W GALARECIE

Potrawa bardzo łatwa do przygotowania w miescie, gdzie w każdej chwili można nabyć w wędliniarni gotowany ozór i upieczony pasztet. Cwierć kilo ozora, pokrajanego cienko, i tyleż ładnie pokrajanego pasztetu, cztery jaja, ugotowane na twardo, cztery szklanki zwykłego, mięsnego rosółu, dwa naście listków białej żelatyny, trochę zielonej pietruszeczki. Żelatynę, wymoczoną w zimnej wodzie, rozpuścić w rosole. Do dużej formy wlać na dwa palce galarety, postawić na lodzie lub na chłodzie, aby zastygła. Ułożyć na niej listki pietruszki, poczem układać wkoło, na stojąco, ozór, pasztet i pokrajane na połówki lub ćwiartki jaja. Powinny się opierać jedne o drugie i o ścianki formy, aby nie poupadały. Zalać galaretą i wynieść na chłód na dwanaście godzin co najmniej. Podawać z sosem musztardowym lub tartarskim.

PREMJE DLA PRENUMERATOREK „BLUSZCZU“



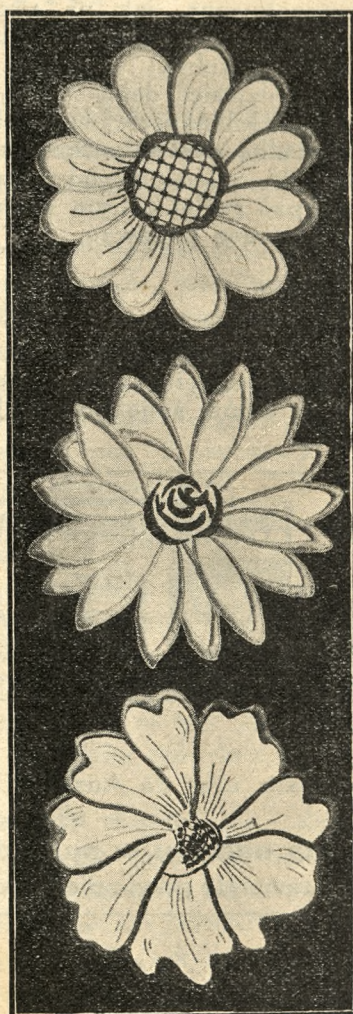
Każda z Pań, która w ciągu Grudnia wpłaci wprost **DO NASZEJ ADMINISTRACJI**

**PÓLROCZNĄ PRENUMERATĘ
W SUMIE 34 ZŁ. 80 GR.**

**OTRZYMA BEZPŁATNIE JEDNĄ
Z NASTĘPUJĄCYCH PREMIJ
DO WYBORU:**

1. Pudełko znakomitych mydeł toaletowych wyrobu firmy **Fryderyk Puls w Warszawie.**
2. Butelkę wody kolońskiej znanej ze swych doskonałych wyrobów firmy **Fryderyk Puls.**
3. Sześć jednakowych serwetek - kwiatów (jak podane obok), 17 × 17 cm., najmodniejszych do ozdobnego nakrycia stołu — zaczętych, wraz ze wszystkimi dodatkami.

Opłacając półroczną prenumeratę, należy wymienić, która premia i pod jakim adresem ma być wysłana.



RISOTTO Z DRÓBKAMI

Kiedy po jakimś przyjęciu rozporządzamy znaczniejszą ilością dróbek kurzych, indyczych lub kaczych, (gęsie podaje się zwykle na oddzielną potrawkę z kaszą perlową i grzybowym sosem), można je użyć na wyborne risotto.

Należy je wszystkie odgotować bardzo miękko, mięso oskrobać z kości i pokrajać w niedużą kostkę. Wątróbki oddzielnie poddusić, przyczem można do nich dodać kawałek wątróbki cielecej. Po uduszeniu wszystkie pokrajać w cienkie płatki. Rozpuścić w rondlu 15—20 deka masła, zasmażyć w tem, nie rumieniąc, dużą cebulę, jaknajdrobniej usiekaną, wysypać suchy ryż i smażyć na wolnym ogniu, mieszając wciąż drewnianą łyżką, aż ryż znacznie lekko żółknie. Zacząć dolewać po kilka łyżek rosółu z dróbek, lub, w braku rosółu, wody osolonej, i dusić wolno, aż ryż zmięknie i stanie się sypki. Wymieszać z dróbkami i wątróbkami, przełożyć do nelsonki lub ogniotrwałej formy, wysmarowanej masłem, posypać grubo ostrym serem, położyć na wierzchu kawałeczki masła i wstawić na dziesięć minut do pieca. Kto nie lubi suchego risotta, może przy niem podać w sosjerce czysty sos pomidorowy.

MAKARON Z DRÓBKAMI

Czterdzieści deka makaronu domowego lub włoskiego połamane na krótkie 2—3 centymetrowe kawałki i ugotować, nie przegotowując jednak, w osolonym wrzątku. Odcedzić, przelać zimną wodą. Mieć przygotowane, jak na risotto, dróbka, oprócz tego przygotować drobno pokrajane skórki z gotowanego drobiu, grzebyki i nerek kogucie, pokrajane w paski, z dziesięć deka szynki, tak samo pokrajanę; jeśli można, kilkanaście pieczarek, przesmażonych w maśle z cebulką. Na półmisku układać makaron i wszelkie dodatki, zalać obfitym sosem pomidorowym, czystym, posypać grubo ostrym serem, zagrzzać mocno w piecu i gorące podawać.

M E L B A

Podaję ten przepis na żądanie czytelniczek. Nie jest to, właściwie, samodzielna potrawa, tylko kombinacja lodów śmietankowych, bitej śmietanki, jakichś

wykwintnych owoców w kompocie i delikatnych ciastek. Podaje się ją bądź na ładnej, dobrze oziębionej kryształowej salaterce, bądź też w płaskich kieliszkach do szampańskiego. Na dno kładzie się warstwę mocno zamrożonych lodów waniliowych, na nich układa owoce z kompotu, najlepiej brzoskwinie; mogą to jednak być gruszki, morele, śliwki duże francuskie, a nawet renklody lub czereśnie. Pokrywa się to znów lodami, jednak ułożonemi już w kopułę. Jeżeli salaterka jest duża, można powtórzyć przekładanie owocami. Pokrywamy wszystko śmietanką, ubitą z cukrem i wanilią, ubieramy ładnie konfiturami i lekkimi, wykwintnymi, drobnymi ciastkami, w rodzaju wiórków migdałowych. Podaje się natychmiast po ułożeniu.

Nie potrzebuję chyba dodawać, że należy wszystkie artykuły wpięrow doskonale ochłodzić i wszystkie czynności wykonywać bardzo szybko i w chłodnym miejscu.

Pani Elżbieta.

Z DZIEDZINY — — KOSMETYKI C E R A

Zima zbliża się szybkimi krokami, a za nią niepogody, szarugi i deszcze. Fatalna pogoda ujemnie oddziałuje na cerę. Aby uchronić twarz swoją od szkodliwego działania wiatrów, deszczu i niepogody, każda z pań wychodząc na powietrze, powinna lekko natrzeć twarz **kremem Abaridowym**, który nie jest tłustym, doskonale wciera się do sucha i jest wprost niezastąpionym pod puder. Po natarciu twarzy **kremem Abaridowym**, nie jest konieczne pudrowanie, dobrze jest jednak cokolwiek twarz przypudrować **pudrem Abaridowym**, który jest zupełnie nieszkodliwym, gdyż nie zawiera części mineralnych, tylko roślinne, a między innymi sproszkowane cebulki lilji białej (lilja Candida).

M-me Ercèdes.

**Skład główny: Warszawa, Szpitalna 10.
Perfection.**

ZABURZENIA W TRAWIENIU



PRZEWLEKŁE, UPORCZYWE ZAPARCIA STOLCA, ORAZ NADMIERNA OTYŁOŚĆ, BEZ SPECJALNEJ DIETY LUB ZMIANY TRYBU ŻYCIA, USUWAJĄ „SZWAJCARSKIE GORZKIE ZIOŁA” (z KOGUTKIEM). SPRZEDAJĄ APTEKI I SKŁADY APTECZNE. — GŁÓWNY SKŁAD: APTEKA A. GAŚCECKIEGO, W WARSZAWIE, UL. FRETA 16.

WŁOSÓW



WYPADANIE I ŁUPIEŻ USUWAJĄ ESENCJA I MYDŁO CHINOWO-CHMIELOWE (z „KOGUTKIEM”). SPRZEDAJĄ APTEKI, SKŁADY APTECZNE I PERFUMERJE. — GŁÓWNY SKŁAD: APTEKA A. GAŚCECKIEGO W WARSZAWIE, FRETA 16.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocz. nie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu”—Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O.—Warszawa 3700

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW

Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak.-Przedm. 99, tel. 239-40.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ”. Ryńska 8, tel. 244-18.